

POLSKIE TOWARZYSTWO ORIENTALISTYCZNE

PRZEGLĄD ORIENTALISTYCZNY

Kwartalnik



Nr 2(42)

WARSZAWA

1962

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

SPIS TREŚCI

ARTYKUŁY

- Edward Szymański, *Walka Konga o niepodległość w latach 1958—1960* 107
Tadeusz Żbikowski, *Czterdzieści lat nowej poezji chińskiej* 119

*

- Grażyna Spychalska-Wilczurowa, *Stanisław Franciszek Michalski* 129
Stefan Stasiak, *Hymny Rgvedy w przekładzie Stanisława Franciszka Michalskiego* 134
Nowe przekłady Rigwed: *Do Indry* (1.32), *Do Jutrzenki* (1.123) — (z wedyjskiego przełożył St. F. Michalski) 137

UTWORY LITERACKIE

- Waża Pszawela, *Skarga sarenki* (z gruzińskiego przełożył Mikołaj Matikaszwili) 143
Adnan Veli, *Ofiarowanie na górze Jusza* (z tureckiego przełożył Zygmunt Abrahamowicz) 147

Z PRAC DZIAŁU DOKUMENTACJI I HISTORII ORIENTALISTYKI ZO PAN

- Jan Reychman, *Nowe przyczynki do dziejów zainteresowań Hafizem w Polsce na początku XIX wieku* 153
Zofia Piedos, *O materiałach jakuckich Adama Szymańskiego w zbiorach Archiwum PAN w Warszawie* 158

MATERIAŁY I NOTATKI

- Beniamin Nadel, *Pochodzenie i wczesne dzieje Adygów* 165
Bogdan Składanek, *Konferencja Filologów Iranistów w Leningradzie* (24.—27.I.1962) 170
Edward Tryjarski, *Z wizytą u Ormian bułgarskich* 173

RECENZJE

Z KSIĄŻEK

- A. Bińkowski, *Podróż za rzekę Amu* (Jan Reychman) 175
Jörg Kraemer, *Das Problem der islamischen Kulturgeschichte* (Franciszek Machalski) 176
K. Ozaqi, *Новый японский театр* (Mikołaj Melanowicz) 177
Японская Литература (Mikołaj Melanowicz) 179
Girdowaranda M. Fozilow, *Pandu hikmatho* (Franciszek Machalski) 181
NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE 182

KRONIKA

- Z ruchu naukowego na polu orientalistyki
Sprawozdanie z działalności Sekcji Orientalistycznej Komitetu Nauk Filologicznych PAN za rok 1961 191



WAŻA PSZAWELA

SKARGA SARENKI

Poeta, dramaturg, publicysta, krytyk literacki i prozaik Waża P s z a w e l a urodził się 14.VII.1861 r. w małej gruzińskiej górskiej wiosce Czargali w dzielnicy zwanej Pszaweti. Stąd pseudonim literacki „Pszawela”, bowiem właściwe nazwisko brzmi R a z i k a s z w i l i.

Rozgłos swój Waża Pszawela zawdzięcza twórczości poetyckiej, a szczególnie poematom epickim, w których opisuje surowe zwyczaje i pełne poświęcenia i bohaterstwa życie górali gruzińskich. Tematy do poematów czerpał Waża z pięknych legend góralskich, z zamierzchłych czasów.

Spośród poematów najbardziej wybijają się *Gogotur i Apszyna, Aluda Ketelauri, Bachtrioni, Gość i gospodarz, Żmijojad* i inne. Są one prawdziwymi perłami poezji gruzińskiej.

Skargę sarenki napisał poeta dla dzieci na prośbę grona kobiet redagujących pismo dziecięce. Jest on również autorem wielu innych ciekawych opowiadań i bajek.

Poeta zmarł w r. 1915. Pochowany jest w Panteonie dla wybitnych pisarzy gruzińskich na Górze Dawida w Tbilisi.

M.M-i.

*

Małeńka jestem, sierota, sama jedna na świecie i bardzo nieszczęśliwa. Lekkie futerko w kropki o krótkich włosach ledwo mnie grzeje, a małe rogi nie dają obrony. Chodzę jak zbląkana. Mam okrwawione nogi i pokaleczone kopyta. Uległam bowiem wypadkowi podczas wędrowki do wąwozu po wodę. Serce łopocze mi bez przerwy..., nie mogę się uspokoić.

Póki żyła kochana moja matka nie musiałam się bać. Byłam pieszczona i nie czułam głodu. Co ja teraz pocznę, biedna sierota? Tak bardzo brak mi matczynej opieki. Rano i wieczorem już nie gaszę pragnienia mlekiem mojej rodzicielki, lecz muszę zlizywać rosę z traw i krzewów. Jednak najgorszy jest ten strach — wielki i okrutny. Zdaje mi się, że zewsząd chyha na mnie śmierć.

O potężny, piękny lesie, ile my, małe sarenki, mamy wrogów? Przed chwilą wyszłam na skraj polanki, gdy naraz coś zagrzmiało nade mną. Spojrzałam przerażona w górę. Ogromny ptak szarobrazowy, z otwartym dziobem i złożonymi skrzydłami leciał wprost na mnie. Szybko, jak najszybciej uskokzyłam w gąszcz leśny. Ptak opadł jak strzała i zamiast we mnie wbił się szponami w jeżyny i szuwary. Żółtokrwawymi

oczyma rozglądał się wokoło, dyszał ciężko w bezsilnej złości i uderzał z hukiem skrzydłami o ziemię. Schowana za drzewo przyglądałam mu się z drżeniem w sercu.

Dzięki ci, potężny i piękny lesie. Gdyby nie ty, już dawno nie było by po mnie śladu. Za dużo wrogów. Czasami myślę, że nie uniknę wczesnej śmierci. Jestem taka bezbronna, a doświadczenie moje niewielkie. Tydzień tylko spędziłam u boku kochanej mateczki. Trudno opisać jak było przy niej dobrze i bezpiecznie.

Mieszkałyśmy tam, na lesistej górze, z której spływa pełno wąwozów. Niedostępnej naszej kryjówki strzegły cienie gęstych drzew. Tylko niekiedy dobra mateczka nastawiała uszu. Patrzyłam na nią i starałam się postępować podobnie. Pilnie strzygłam swoimi małymi uszkami. Trzy razy doleciały nas jakieś odgłosy, nie będące ani szepcetem strumyka, ani szelestem rozkołysanych wiatrem liści. Nie podobne też były do miarowego stukania dzięcioła, do odgłosu spadającej gałązki i wesołych figlów drozda, bawiącego się beztrudnie wśród wierzchołków drzew. Mama ile razy posłyszała ten odgłos, mówiła cichutko: biegnij za mną. Uciekałyśmy co sił. Nie rozumiałam wówczas celu tej ucieczki, ani nie wiedziałam dlaczego tak pędzimy.

Teraz wiem. Powodem naszej szalonej ucieczki był człowiek. Straszny, bezlitosny człowiek, ten sam, przez którego nie mogę cieszyć się chłodem wietrzyka i spokojnie skubać zielonej trawki. Och, jakim lękiem przejmuję mnie każde spotkanie z człowiekiem! Śmiertelnym wrogiem jest dla nas człowiek — chociaż nie jedynym.

Przedwczoraj padał deszcz. Piękna moja matka stała pod rozłożystym bukiem i poważnie przeżuwała pokarm. Tuliłam się do niej. Czułam ciepło jej ciała. Deszczowa woda srebrzystymi nićmi miarowo uderzała o liście drzew i krzewów. Wystawiłam główkę, by ochłodzić się zimnymi kroplami.

— Dobrze ci, dziecko? — pytała mama.

Odpowiedziałam mrugnięciem oczu, skakałam i z radości bodłam ją w piersi. Przed nami, po uschniętym drzewie przechadzał się dzięcioł i tak mocno wystukiwał ostrym dziobem, że nie mogłam się nadziwić, jak taki mały ptak może robić tyle hałasu. Wtem posłyszałam z boku: czyki, czyki. Obejrzałam się. Nad nami krążył jakiś ptak.

— Schowaj się, bo oczy ci wydlubie — powiedziała trwożliwie matka.

Przyłgnęłam do jej ciała, a ona prędkimi ruchami odpędzała drapieżnika. Długo napastliwy czchikwi usiłował mnie dopaść. Wreszcie dał spokój. Usiadł na gałązce potężnego buku i począł kwilić. Głos jego, przeciągły i zawodzący, do złudzenia przypominał moje kwilenie. Pocziwa matka dobrotliwie mnie pouczała:

— Nie odpowiadaj nigdy na głos ptaka czchikwi, który wydlubuje oczy małym sarenkom, zwabiając je podstępnie niewinnym zawodzeniem.

Wstrząsnęło mnie dreszczem, nie mogłam pojąć przewrotności ładnego czchikwi.

Pewnego razu w czasie wielkiego upału matka podniosła się z legowiska i pociągnęła mnie za sobą do źródelka. Puściliśmy się ścieżkami, znanymi tylko mieszkańcom lasu, w głąb stromej wąwozu. Nie dochodził tam żar promieni słonecznych. Korzenie drzew tworzyły gęstą pajęczynę, pod korzeniami sączyła się lodowata woda, a w niej przeglądały się liście łopianu i konary grubych drzew. Zimna i czysta jak kryształ woda płynęła wartko po kamiennych płytach, a napotkawszy na większe skały, pięt-

rzyła się wysoko. Matka chłodziła się w srebrzystej wodzie. Ja stapałam z trudem tak bolały mnie kopyta.

— Stań przy mnie w wodzie, bardzo tu przyjemnie — doradzała matka.

Wsunęłam jedną nogę w wodę i odskoczyłam.

— Oj, zimna, nie mogę mamó — wykrztusiłam zdławionym głosem.

— Nie bój się dziecko — tłumaczyła matka — to tylko pierwsze wrażenie.

Powtórnie weszłam w wodę; po chwili wydała mi się zaledwie chłodna.

— Wracajmy, bo słyhać stapania — rzekła matka, rzucając ostre spojrzenia w stronę odgłosu. — Nie bój się — szepnęła mi po chwili do ucha — to kobieta z dzieckiem. Samotne kobiety z dziećmi nie ruszają sarenek. Ostrożność jednak nie zawadzi, chodźmy podszyciem leśnym.

Nie posłuchałam dobrej mateczki. Ciekawość była silniejsza. Chciałam dokładnie zobaczyć chłopczyka, małe ludzkie dziecko. Podskoczyłam na skraj lasu i wyjrzałam jednym okiem zza ogromnego drzewa. Wtem ktoś przeraźliwie krzyknął:

— Mamusiu, wilk, mamusiu! O, jakie straszne uszy sterczą zza tego drzewa!

Małeńki chłopczyk pokazywał w moją stronę.

— Kochany, to nie wilk, to mała sarenka. Jaka ona piękna! — zachwycała się kobieta.

— Złapmy ją mamusiu, złapmy! — pokrzykiwał chłopczyk i chciał już biec w moją stronę.

— Nie, najdroższy, szkoda! Jest taka śliczna i pewnie bardzo kochana przez swoją matkę; zostawmy ją na wolności.

Pochłaniałam ze wzruszeniem te słowa, pełne współczucia, a serce biło mi szybko z radości. Słuchałabym i dalej, gdyby nie matka. Skarciwszy moją lekkomyślność, rzekła:

— Nie wierz im. Oni naprowadzą na nasz ślad myśliwych.

Czyżby biedna moja matka przeczuła, że koniec jej jest bliski?

Pędziliśmy zбочem wąwozu, brnęliśmy w zaroślach, byle dalej od niebezpieczeństwa. Dokuczliwy skwar zmusił nas do odpoczynku w cieniu szerokolistnych „dzarnauki”. Wtem zza gór wypełzły czarne chmury. Rozpętała się burza. Z hukiem i osłepiającym blaskiem pioruny biły bez przerwy. Potoki deszczu spływały lawiną. Zbocza gór zagrzniały szumem wodospadów i wezbranych strumieni. Echo, odbijające się od gór, potęgowało jeszcze bardziej piekielną grozę. Ptactwo przestało ćwierkać. Groźny czchikwi, mój prześladowca, siedział teraz skulony na gałązce, oczy miał przymknięte, skrzydła zwisały mu bezradnie, a z dzioba spływała struga wody. Tuż obok tulił się do czchikwi piękny ptaszek z czerwonym podbrzuszem, a nieco dalej gabua i kapneti. „Cirip, cirip” — płaczliwie pojękiwała ta ostatnia, a tak żałośnie i przejmująco, że odważny czchikwi popadł w wielki lęk.

Nagle błysnęły jasne promienie słońca. Zbudzona przyroda odezwała się świergotem ptactwa. Splukana trawa nęciła świeżością. Z dołu ozwał się śpiew fujarki. Pod nami, na szerokiej polanie stado baranów skubało soczystą górską trawę. Młody pastuch siedział na wzgórzu z fujarką w ustach, obok niego przykucnął pies, uważnie pilnujący stada.

— Oj, niedobrze — powiedziała matka — wprawdzie pastuszek bezbronny, ale ten pies... gdy zwącha popędzi za nami.

Ledwo skończyła mówić, pies nastawił uszu, zaskomlał i puścił się ku nam.

— Schowaj się, czekaj, wróć do ciebie — mówiła matka wyskakując na spotkanie psa.

Pies rzucił się na mamę. Zdrętwiałam ze strachu, lzy zasłoniły mi oczy, a serce zamarło. Długo słyszałam odgłos gonitwy i walenie się kamieni spadających w dół. Zaczęło się zciemniać. Wraz z szarą powłoką, opasującą góry, w duszę moją wstąpił paniczny lęk o życie matki. Czekałam w wielkiej trwodze. Ze stada dochodziły pobekiwania i ostry gwizd, z trudem zrozumiałam, że dzień się kończy i pastuch przygotowuje stado do zejścia w dolinę. Niebawem na głos swego pana wybiegł z lasu potworny chursza. Psu zwieszał się z pyska ogromny czerwony ozór.

— Może na tym obrzydliwym, czerwonym języku jest krew mojej matki — myślałam gorączkowo. — O, matko, gdzie jesteś, czy żyjesz?

Ciche muczenie, przywróciło mi życie i radość, poznałam głos matki. Nie zapomnę nigdy pocałunków i pieszczot, jakimi wtedy mnie obsypała. Niestety nigdy już więcej nie zaznam jej miłości. Całą noc spędziłyśmy na przechadzce, radując się wspólnym istnieniem. Przed świtem, blade słońce lekko różowiło korony leśnych olbrzymów i zgiełkliwe roje ptactwa pożywiały się słodkimi czereśniami, gdy matka zauważyła głębokie ślady, jakie pozostawiałyśmy na świeżej rosie.

— Strzeżmy się, wypatrz nas — powtarzała szeptem, trwożliwie.

Były to ostatnie słowa mojej matki. Zbliżyłyśmy się do smukłych świerków, do wysokich i zwartych brzoź. Nagle jak piorun rozdarł ciszę strzał. Echo wystrzału obleciało wąwozy i góry, poruszyło liście na drzewach i rozkołysało trawy. Matka jęknęła tylko i padła:

— *Wajme!* Biada mi. *Wajme!*

Zza brzoź wyskoczył młody mężczyzna w brązowej czerkiesce i z okrzykiem „triumfu” pobiegł ku matce. Schowałam się. Napróżno próbowała powstać — biedna moja matka — unosiła się i znów opadała. Widziałam błyszczący kindzał, dużo, dużo czerwieni, widziałam wszędzie krew. Potem, gdy przyszłam do siebie, matki już nie było, tylko krew i ślady umierającej. Stałam sama długo, płakałam i skarżyłam się górcom, źródłom i strumieniom, słońcu, niebu i drzewom. I wiem, że będę płakać, męczyć się i bać, aż i mnie pozbawią życia, które jest piękne — jak moją kochaną matkę.

Z gruzińskiego przełożył
Mikołaj Matikaszwili



¹ *Wajme* — biada mi!



ADNAN VELI

OFIAROWANIE NA GÓRZE JUSZA

Sydyka Chanym, wracając z koszykiem w ręku z Rynku Maltańskiego, na ulicy Siedmiu Emirów wstąpiła do swojej dawnej koleżanki Piegowatej Seher. Matka Seher, Chuda Nimet, prała tego dnia bieliznę syna i była bardzo zmęczona. Sydyka Chanym zawołała od progu:

— Sąsiadeczko, huuu!... Nimet Chanym! Chodź do drzwi, do drzwi!...

Nimet Chanym ukazała się z torbą pełną uchwytów do wieszania bielizny. Chustka zsunęła się jej na bok, a białe włosy, powalane ceglastą szminką, którą zbyt pospiesznie wcierała sobie w policzki, były w nieładzie. Spódnicę podpięła do pasa, żeby się nie majtała. Na jednej nodze miała pantofel domowy, na drugiej drewniany chodak.

— Ależ pozwól, Sydysiu! — zawołała. — Wejdz... Trochę sobie pogadamy. Ja też dopiero co z rynku. Zmęczyłam się śmiertelnie... Chodźże, na litość Boską! Ileż to czasu nie byłaś już u nas...

— Ach, kochana... Muszę jeszcze iść do domu, nakryć do stołu, zrobić sałatkę z orzechów. Przyszłam się o coś zapytać. Czy jutro będziesz wolna? Jadę na Jusza, więc chciałam poprosić, żebyś i ty pojechała ze mną.

— A po cóż to, kochanie, mamy jechać na Jusza?

— O, nie mów tak, moja Nimet Chanymciu... Ślubowałam... Złożę ofiarę. Przyrzekłam sobie, że jeśli mój chłopak rzuci heroinę, to zarżnę barana na ofiarę świętemu Jusza. No i, dzięki Bogu, Dżemil dał sobie spokój z tą heroiną. Więc teraz, czy chcę czy nie, ślubowania dotrzymam... Pojedziemy statkiem do Bejkozu, a tam najmiemy osiołka i jakoś to będzie. No to jak, pojedziesz?

— *Wallahi*¹, nie wiem, sostro! Sama nie mogę zdecydować. Muszę zapytać swojego.

¹ *Wallahi* — na Boga!

— Ach, moja Nimetusi, to kiedyś się pytało. Przecież pojedziesz dla dobrego uczynku, więc nie ma o co pytać. Pojedź, pojedź... Kto to widział dzisiaj, żeby się radzić męża?

Chuda Nimet myślała dość długo, ale się w końcu zgodziła.

— No to dobrze, siostrze. Trzeba przyszykować jedzenie i jeszcze coś niecoś.

— *Wallahi*, nie się nie martw! Zrobię wieczorem nadziewane bakłażany. Weźmiemy do koszyka arbuza, parę pomidorów, mięso będziemy miały z barana, to sobie zjemy co Bóg da.

— Jakże to? Przecież nie będziemy jadły ofiarnego barana?

— Ależ, moja kochana! Mięso będzie nie dla mnie, tylko dla ciebie. Zjesz sobie ozór, a jak nie, to bitki.

— A gdzieście kupili barana, Sydysiu?

— Sama kupiłam. Na Dawud-Pasza, z trzody Hakkiego. Pan małżonek był za to na mnie zły. Jego kolega, Selim Bej, inspektor z magistratu, powiedział, żebyśmy przyszli do niego, jak będziemy kupować na ofiarę, bo on napisał list do dyrektora rzeźni, a ten dyrektor rzeźni zna się z handlarzami baranów. Mówił mężowi, że ci handlarze wybiorą dobrą, tłustą sztukę z pastwisk w Tracji i że kupi mu tanio. Ale ja się tam nikomu nie kłaniałam. Dałam dziewięćdziesiąt lir i powiedziałam, że na ofiarę nie wolno żałować. Może nie miałam racji?

— Dobrześ powiedziała, siostrze... Dzisiaj żyjemy, a jutro już nas nie będzie. Do kina nie chodzimy, nie palimy tytoniu, więc na co mamy wydać, jeśli nie na ofiarę?

— Jak byś mi to z ust wyjęła! Tak, bodaj się przejedziemy... Pamiętaj, kiedy muezzin rano zaśpiewa z minaretu, żeby ciebie już tu nie było! Bywaj zdrowa, siostrzyczko. A bądź gotowa o szóstej, żeby nas zanadto nie piekło w południe.

Na drugi dzień raniutko Sydyka Chanym przyszła do Chudej Nimet. Nimet Chanym zrobiła wieczorem parę blinów i zawinęła je w nieprzemakalny papier. Do dzwigania barana Sydyka Chanym najęła tragarza. Wieczorem informowała się u sklepiarza Zija Efendiego, o jakich godzinach odpływa statek do Bejkozu, lecz teraz jakoś to jej wyleciało z głowy, więc powiedziała:

— Zejdźmy przez Merdżan na most nad Złotym Rogiem. Jest jakiś statek bezpośredni, tylko zapomniałam, o której odchodzi, moja siostruniu.

— Oj, to idźmy szybko, żeby zdążyć — powiedziała Nimet Chanym.

Ruszyli więc: tragarz przodem, a kobiety za nim. Dzień był upalny i baran ofiarny, któremu związane rogi, wywalil język, a jego głowa, zwieszona na bok, kołysała się w takt kroków *hammala*.

W końcu kobiety ulokowały się na dziobie statku jadącego do Bejkozu, a baran został przywiązany do balustrady. Sydyka Chanym miała w koszyku wierzchnie, grube liście salaty i raz po raz dawała je baranowi. Na statku jechały też dziewczęta greckie, wydekoltowane, biegające to w prawo, to w lewo i przekomarzające się ze swoimi kawalerami. Sydyka Chanym wariowała na myśl, że spódnica którejś z dziewcząt mogłaby dotknąć się jej ofiarnego barana...

Opuściwszy przystań kobiety zagadnęły furmana, ale chłop chciał pięć lir, więc zrezygnowały. Potem, koło potoku, za półtora liry wynajęły sobie osiołka. Baran został przytroczony do siodła na bagaże, umieszczonego na grzbiecie osła, koszyk zaś ustawiono na zadzie klapoucha. Kobiety zastrzegły sobie, że osioł ma iść wolnym krokiem, ale kochane bydłatko nie bardzo zważało na ten warunek i babiny dobrze musiały się zmęczyć, aby za nim nadążyć. Wreszcie prawie po godzinie uciążliwej drogi stanęły na szczycie.

Tego dnia było na Jusza dość ludno. W cieniu pod drzewami rozłożyły się grupki po trzy do pięciu osób. Jedni gotowali coś w glinianych garnkach, drudzy kołysali się na huśtawkach przywiązanych do gałęzi, inni znowu modlili się bijąc pokłony, zrywając się i znowu padając na kolana, a koło studni trzech żołnierzy marynarki wojennej bawiło się skacząc jeden przez drugiego.

Sydyka Chanym umieściła barana pod jednym z drzew, a potem otworzyła koszyk, żeby podjąć sobie nadziewanych bakłazanów. Usadowiwszy się na rozesłanym kocu i oparłszy się plecami o drzewo, nie zdążyła nawet rozwiązać chustki na głowie, gdy jakiś młody mężczyzna podszedł do niej i powiedział:

— Dzień dobry, mamusiu! Niech Pan Bóg przyjmie twoją ofiarę. Pewno na jakąś intencję?

— Niech Allah będzie tysiakkroć pochwalony! Tak, ślubowałam — odparła Sydyka.

— To zarżniecie barana?

— Tak, synu.

— A macie kogoś do tego?

— Chyba się ktoś znajdzie...

— Ooo, nie znajdziecie! Tu nikomu innemu nie wolno zarżnąć ofiary, tylko mnie.

— Dobrze, to ty zarżniesz.

— Zarżnę, zdejmę skórę, a za to dostanę głowę, płucka i dwie i pół liry gotówką.

— Ooo, ooo!... Żebym tak zdrowa była! Czy to ofiarę zarżyna się za dwie i pół liry?

— No a za ile?

— Za Bóg zapłać się zarżyna, moje dziecko.

— Ja na „Bóg zapłać” nie powiem ani słowa, ale mam żonę, dzieci. Dawniej ostrze nie noża kosztowało ćwierć liry, a dzisiaj na te dwadzieścia pięć kuruszy nie chcą patrzeć. A po to, żebym te barany, które ludzie tu przyprowadzają, mógł rżnąć tylko ja, to tym co pilnują grobu świętego daję jeszcze co dwa lata trzysta pięćdziesiąt lir czynszu.

Sydyka Chanym, bardzo tym zmartwiona, powiedziała:

— No, niech tam będzie. Dam ci płucka... i weźmiesz sobie też głowę. Ale za co dwie i pół liry, mój synu? Ta ofiara kosztowała mnie już ponad setkę...

— Mamusiu, przecież sama tego chciałaś. A pomyśl tylko, czy na świętego można żałować dwu i pół liry?

— A czy ty, mój synu, te dwie i pół liry dasz na świętego?

— Za lirę postawię świeczkę, a za półtora zmówię *jasin*.

— Kiedy zmówisz?

— Wieczorem.

— A jak nie zmówisz?

— Ach, mamusiu... Nie jestem taki, jak sobie myślisz! Jeżeli nie zmówię, to niech moją matkę i żonę...

— Co ty! Nie mów takich słów koło grobowca, bo dalibóg, święty ciebie sparaliżuje!

— Mnie nie sparaliżuje! On wie, że serce to ja mam czyste.

Sydyka Chanym zwróciła się do Chudej Nimet:

— A mówiłam dziesięć razy do swojego chłopca: „Nie zwalaj mi na głowę tego barana, bo nie dam sobie z tym rady! Chodź — mówiłam — dźgniesz ze dwa razy nożem w szyję i będzie koniec”. Ale nie mogłam go zmusić, żeby usłuchał. — Słuchaj, synu. Dam ci dwie liry. Dodam także flaczki. Tylko nie męcz tego zwierzęcia i zarznij prędko.

— Męczyć zwierzę to nie ja, mamusiu! Ja najpierw wbiję nóż w poświęconą ziemię a potem — zwierzęciu w gardło!... Tylko że za mniej niż za dwie i pół liry nie da rady.

— Ano, dobrze, niech tam... No, ale już, szybko.

Człowiek bez słowa skierował się ku domkowi za grobowcem. Ofiarny baran leżał na ziemi ze związanymi nogami. Sydyka Chanym powiedziała:

— Widziałaś, moja kochana? Za wszystko trzeba płacić. Usiądziesz, płac, a wstaniesz, też płac... Do nikogo nie mam pretensji, mam tylko żal do swojego łobuza. Przyzwyczał się do tej jakiejś heroiny, ciągle to zażywał i byłby się do cna zatracił. Ale, dzięki Bogu, już mu to przeszło.

W chwilę potem rzeźnik wrócił z dwoma nożami. Sydyka Chanym nie omieszkła zapytać:

— Synu, a obmyśłeś się?

— Och, mamusiu, a czyż mogę być nieczysty? Przecież dziennie zarzynam osiem, albo i dziesięć baranów.

— No więc zmów już *Besmele*... Ale rznij tam trochę dalej. Mam miękkie serce.

Człowiek spętał baranowi nogi i zaciągnął go pod drzewo, które rosło opodal, a potem zawiązał mu oczy brudną szmatą. Kobiety odwróciły głowy. Sydyka Chanym coś szeptala do siebie.

— Wiesz, siostró — odezwała się Chuda Nimet — jak będzie zdzierał skórę, to stanę przy nim. Oni nie zostawiają w zwierzęciu nawet płucek, ani kiszek, a takich bardzo biednych to tu znowu nie ma. Gdybym ja była na twoim miejscu, to comber oddałabym mnie. Wszyscy sąsiedzi by zjedli, bo kogo teraz stać na to, żeby kupować mięso po pięć lir? Wszyscy by ciebie błogosławili. A tutejszym mięso już się chyba przejadło. Postłuchaj mnie i zrób tak, no...

Człowiek powiesił barana za nogi na drzewie i zaczął zdzierać skórę. Wokół mięsa zebrała się gromada dzieci i Sydyka Chanym musiała dobrze uważać, żeby nie kradły.

W końcu jednak większość ofiarnego mięsa została rozdawana. Nimet Chanym wzięła tylne nogi. Kiszki z tłuszczem, nerki i trochę mięsa dały kobiety żandarmom z patrolu. Chuda Nimet spałaszowała aż siedem kotletów. Potem u sprzedawcy napojów

wypiły po dwie szklanki sorbetu wiśniowego, odmówiły modlitwę popołudniową, poszły do grobu świętego i w końcu, utrudzone i zziębnięte, wróciły do Stambułu.

Gdy Sydyka Chanym, już uspokojona, powracając z próżnym koszykiem, miała wejść do mieszkania, Atije, synowa Arnautów, jej sąsiadów z naprzeciwka, krzyknęła do niej:

— Ciotko Sydyko! Gdzieżeś to się podziewała? Szukam ciebie już parę godzin...

— A czego ci trzeba ode mnie? Jeździłam na Jusza, barana zarznięłam na ofiarę za Dżemila!

Atije zeszła ze schodów i otworzyła drzwi:

— Chodź tu na chwilę, chodź... Miałam ci powiedzieć właśnie o Dżemilu. Złapali twojego chłopca dzisiaj rano, jak zażywał heroinę. Właśnie był w dyrekcji policji i prosił, żebyś mu przez kogoś przysłała czyste kałesony i dwie i pół liry.

Sydyka Chanym nagle jak gdyby straciła zmysły. Koszyk wypadł jej z ręki. Drugą uczepiła się za futrynę drzwi, ale zachwiała się, a potem zniecka runęła przed progiem na ziemię.

Z tureckiego przełożył
Zygmunt Abrahamowicz

